

Łukasz: huragany*

*Dla Carol, która na bulwarze nadmorskim
w Hawanie podejrzewała, że wiatr
wiejący z północy nie jest taki znowu niewinny*

Kilka dni temu na wybrzeżu Florydy, która nadaje się do tego z bardzo wielu powodów, założyłem fabrykę huraganów i z miejsca puściłem w ruch helikoidy turbinujące, miotacze podmuchów napędzane sprężonymi neutronami oraz wirownice wiatrotwórcze na zawieszinie koloidalnej, i wszystko to naraz, ażeby się przekonać, jaki osiągnę sukces i im wspólnie uzyskać.

Trasę mojego huraganu (celowo przyznaję się do jego autorstwa, gdyż zdarzają się też takie, które można zakwalifikować jako powstające samoistnie) z łatwością można było śledzić w radiu i telewizji, a było na co popatrzeć, ponieważ mój huragan wdarł się na Karaiby z prędkością dwustu na godzinę, obrócił w perzynę tuzin wysepek i wszystkie palmy na Jamajce, nie wiedząc czemu skręcił na wschód i popędził w stronę Trynidadu, wyrzuwając instrumenty muzyczne z rąk członków rozlicznych *steel bands*, biorących udział w jakimś festiwalu adwentowym,

a wszystko to pośród innych zniszczeń, których szczególne przytaczanie mało mnie bawi, gdyż to, co naprawdę lubię, to huragan sam w sobie, a nie opłata, jaką pobiera za to, żeby zostać prawdziwym huraganem i zająć wysokie miejsce w rankingu zatwierdzonym przez British Weather Board.

Na to wszystko wparowała do mnie pani Cinamomo z dzikimi pretensjami, bo słuchała w radiu wiadomości, a tam do opisanie zjawisk przyrodniczych używano terminów zaczerpniętych z najgorszych ckliwych i sentymentalnych audycji, a mianowicie: zniszczenie, dewastacja, ludzie bez dachu nad głową, krowy poderwane w górę na wysokość czubków palm kokosowych, oraz inne epifenomeny, pozbawione jakiegokolwiek ciężaru naukowego. Zwróciłem uwagę pani Cinamomo, że – relatywnie rzecz biorąc – ona sama jest znacznie bardziej szkodliwa i destrukcyjna dla swego męża i córek niż ja z moim pięknym, bezosobowym i obiektywnym huraganem, w odpowiedzi na co nazwała mnie Attylą, który to przydomek wcale mi się nie spodobał, sam nie wiem dlaczego, bo w rzeczywistości brzmi całkiem nieźle. Attyła, Attylita, Attylus, Attylissimus, Attylon, Attylangus – proszę, jakie piękne warianty.

Nie żebym był mściwy, jednak następnym razem tak ustawię helikoidy turbinujące, że napędzą pani Cinamomo niezłego stracha. Nie będzie zachwycona, kiedy jej sztuczna szczeka polecą na jakieś pole kukurydzy w Gwatemali albo jej ruda peruka wyląduje na Kapitolu w Waszyngtonie; to oczywiste, że czyniąc w ten sposób zadość sprawiedliwości nie da się uniknąć innych, być może uciążliwych, przemieszczeń, jednak zawsze musi być coś za coś, kurdemol.

(M. J.)

* „Cuadernos Hispanoamericanos”, Madryt, nr 364-366, październik-grudzień 1980 r.